

Na uczelniach muszą powstać komórki odpowiedzialne za transfer technologii

Na wszystkich polskich uczelniach muszą działać komórki odpowiedzialne za transfer technologii. Tylko dyspozycyjni uczeni, którzy znają ofertę swoich jednostek, mogą skutecznie poszukiwać odbiorców rynkowych dla pragmatycznych prac naukowych. Potrzeba nam czytelnych przepisów, regulujących funkcjonowanie i finansowanie pracy takich komórek w strukturach szkół wyższych – uważa prof. dr hab. Tomasz Borecki, były rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW), dyrektor Międzyuczelnianego Instytutu Współczesnych Problemów Cywilizacyjnych.

Definicję własności intelektualnej profesor splata ze słowem "uczciwość". Stwierdza, że wartość intelektualna jest własnością ludzi, którzy coś wymyślili. To taka sama własność, jak każda inna. Szanowanie tego prawa z jednej strony, a z drugiej - dbanie o jego ochronę, jest po prostu uczciwe. Powinny być w tym względzie jasne przepisy prawne, regulacje podobne do tych, które od wielu lat z powodzeniem stosowane są w innych krajach. Bez nich panuje, zdaniem uczonego, znaczny bałagan.

- W Polsce to, co jest cudze, bierze się – jakby nie należało do nikogo. Nie chodzi tu tylko o problemy związane z plagiatami. Jak byśmy na to patrzyli, jeśli nawet własność intelektualna nie dotyczy wynalazków wdrażanych do gospodarki, to zawsze własność przekłada się na finanse. Dlatego musimy uczyć się czystości działania – we wszystkich sferach. Przecież można i należy korzystać z czegoś, co powstało dzięki myśli twórczej i pracy innych ludzi, ale trzeba to robić w sposób, uczciwy i zgodny z przepisami prawa!

Aby dla każdego było jasne, w jaki sposób można czerpać z dorobku intelektualnego badaczy, racjonalizatorów i wynalazców, potrzebny jest jeden ogólnopolski przepis. W ustawie dotyczącej własności intelektualnej powinny znaleźć się zapisy, gwarantujące twórcom, że ich dorobek nie będzie bez ich zgody i godziwej zapłaty wykorzystywany przez innych.

Takie regulacje to dobry wstęp do rozwiązania polskiego problemu z innowacyjnością i transferem technologii do gospodarki. Zmiana sytuacji w tej sferze wymaga zaangażowania środków i zatrudnienia ludzi, którzy byliby zawodowo zainteresowani współpracą nauki z przemysłem. Takie gremia, w opinii prof. Boreckiego, powinny funkcjonować na każdej uczelni.

- Na uczelniach rolniczych znaczna grupa ludzi pracuje w doradztwie rolniczym. Nie ma tam jednak nikogo, kto mógłby wymuszać na uczonych transferowanie wynalazków do praktyki gospodarczej. Chciałbym, żeby na każdej uczelni w Polsce działały komórki zainteresowanych tym osób. Pracowałyby tam kilku uczonych - zatrudnionych na pół etatu, którzy jednocześnie byliby na tyle dyspozycyjni, aby zajmować się kwestią transferu wiedzy. Tylko ci ludzie, którzy w sposób profesjonalny zarządzaliby transferem i wymuszali na naukowcach aktywność, mogą mieć realny wpływ na wzrost innowacyjności w Polsce.

Jak tłumaczy prof. Borecki, taka komórka miałaby wychodzić z ofertą uczelni na zewnątrz, a nie tylko szukać zleceń na badania. Zatrudnieni tu eksperci penetrowaliby rynek prac magisterskich i doktorskich pod kątem pragmatycznym. Powinni też szukać sponsorów dla przeprowadzenia potrzebnych i wskazanych badań. Taki mechanizm pozwoliłby zdobyć rozeznanie, co na rynku można sprzedać, co "chodzi". Umożliwiłby też uczonym uzyskanie porady prawnej i finansowej. Niestety, jak dotąd nikt tego nie robi. Staranie o patent trwa latami, koszty są ogromne, a perspektywa zysków odsuwa się poza horyzont. Ludzie, z których nikt nie zdejmuje nawet części ciężaru owych procedur, najczęściej nie chcą się w nie wikłać.

- Dziś przemysł "zasysa" bardzo niewiele. Przyzwyczailiśmy się sprowadzać ekspertów z zagranicy, w przekonaniu, że dobre firmy dają gwarancję sukcesu. Zapomnieliśmy o tym, że jesteśmy i możemy być tak samo dobrzy, jak reszta Europy. Trzeba robić marketing naszym uczonym. Ja wiem, że w mojej branży – sadownictwie – mamy ekspertów na miarę europejską, którzy mogą służyć praktyczną wiedzą i doświadczeniem.

Na SGGW nie działa dotąd komórka, jaką opisuje były rektor. Problem, jak się okazuje, tkwi w finansach. Uczelnia może opłacić naukowcom pół etatu, jednak oczekiwania co do drugiej części wynagrodzenia kierowane są do ministerstwa rolnictwa. Wszak to ten sektor zyskiwałaby na pracy specjalisty, który – po wykładach i ćwiczeniach – zajmowałby się poszukiwaniem dróg ujęcia dla innowacji oferowanych przez różne wydziały.

- W kwestii pieniędzy również kluczem do sukcesu jest czytelność. Wszystko zaczyna się już w czasie studiów. Kiedyś pojechałem do moich studentów, praktykujących na fermie warzywnej w Anglii wraz z kolegami z całej Europy. Właściciel narzekał tylko na jedno – że ci młodzi ludzie nie chcą mu proponować żadnych usprawnień. Dla mnie sprawa była jasna – studenci nie powinni dzielić się żadnymi pomysłami, jeśli nie dostaną za to określonych pieniędzy.

W przypadku naukowców pojawia się problem podziału zysków. Jest rzeczą oczywistą, że każdy pomysł to własność, za którą autor powinien dostać godziwe pieniądze. Jeżeli robi to w uczelni, na aparaturze uczelnianej, to jednostka go zatrudniająca staje się współwłaścicielem tego wynalazku. Trzeba zatem zastanowić się - ile komu się należy.

- Ja nie chciałbym podawać konkretnego procentu, uważam, że sprawa powinna być traktowana indywidualnie. Są projekty warte miliony i takie, które przynoszą kilkadziesiąt tysięcy zysku. W jednym i drugim przypadku wynagrodzenie musi być godziwe dla autora innowacji. Choć uczelnia jest miejscem pracy badaczy, to nie jest w porządku, żeby człowiek pracował na coś, co po sprzedaniu daje miliony złotych, otrzymując w zamian dwa tysiące złotych. To może być 10 tysięcy, 200 tysięcy albo jakieś profity przez pewien okres - sumy powinny się negocjować między naukowcem, uczelnią, a firmą, która podejmuje się produkcji w oparciu o innowację. Niestety, na razie to nie wynalazcy dorabiają się na swoich wynalazkach – obserwuje prof. Borecki.